Tygodnik literacki
literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 32. Poznań, dnia 9. Sierpnia. **1841.**

Literatura zagraniczna.

Die bedingte Preßfreiheit,
historisch-kritisch entwickelt u. beleuchtet von Theodor Heinsius. Berlin 1841.

(Dalszy ciąg.)

Autor wykazawszy pokrótce, że warunkowa wolność druku, jak niegdyś mównica publiczna u Greków i Rzymian, jest potężną nauczycielką ludów, i że leży w samym interesie rządu, ażeby tym organem doszły go wszystkie opinie krajowców, i złe i dobre, zkądby brał miarę i skazówkę postępowania swojego; — i przytoczywszy na poparcie twierdzeń swoich zdanie komissyi sprawozdawczéj pierwszéj izby stanów badeńskich z r. 1831., tudzież rozkaz gabinetowy z dnia 4. Lutego 1804. r., gdzie wyraźnie powiedziano: *„Hingegen bleibt diese Oeffentlichkeit das sicherste Mittel, sowohl für die Regierung selbst, als auch für das Publicum, gegen die Sorglosigkeit, oder die unlautern Absichten der Behörden, und sie verdient daher befördert und in Schutz genommen zu werden“*; — przystępuje nareszcie do bliższego oznaczenia warunkowéj wolności druku. Wszakże klassyfikacya piśmiennictwa, którą tu przyjął, zbyt jest dziwna, bo oparta na przypadkowém zdaniu Szlegla, który gdzieś powiedział: „że autorstwo może być, stósownie do usposobienia pisarzy, bezecnością (infamią), rozwiozłością, odrobkiem, rzemiosłem, sztuką i cnotą.“

Stósownie do tych znamion stanowi więc p. Heinsiusz bezwarunkową albo też warunkową wolność druku. Pisma, których charakterem jest cnota — powiada — obejmują cały obszar dzieł naukowych i umiejętnych, od książek elementarnych począwszy, aż do głębokich badań filozoficznych. Dzieła te mając jedynie na celu uprawienie rozumu, ożywienie moralności i ukształcenie smaku czyli to w dogmatycznym, czy w krytycznym, lub skeptycznym sposobie, wyłączone być winny z pod cenzury, która tu tylko piśmiennictwu stoi na zawadzie. Skeptyczne zasady, wypowiedziane w rzeczach wiary, albo niemoralność romansów, mogąca być szkodliwą obyczajom, wychłoszcze sprawiedliwsza krytyka, a uczyni bezszkodliwém i lepsze wychowanie. (stron. 28.) — Autor tu zbyt krótko się wyraża, i zdawałoby się, że zgubną daje radę, puszczając wiarę i moralność bez osłony na pociski niedowiarstwa i zepsucia, które przecie lepiéj w zarodzie przygnieść, niżeli pozwolić im życia, a dopiero potém zapobiegać krytyką. I zapewne, że taki wniosek byłby słuszny, gdyby tylko i tu nie należało powtórzyć zapytania, dla czego dla kilku pism szkodliwéj treści poddawać pod cenzurę całe piśmiennictwo? gdyby i tu nie trafiał zarzut, zkąd cenzor, w rzeczach, których może nie pojmuje, ma stanowić nieomylnego sędziego myśli pisarza? Ale i filozoficzny jeszcze powód mówi za wolnością bezwarunkową drukowania pism naukowéj treści. Negacya, jak wszędzie, tak przedewszystkiém w naukach, w wierze i moralności jest potrzebą. Nią się wyświeca i jaśnieje ich światło. Cały postęp idzie przez negacyą. Jest ona koniecznością oświaty, i dla tego żadna cenzura ją ani przytłumić dotąd nie potrafiła, ani przytłumi kiedykolwiek. Jak cień za słońcem, szło i idzie zepsucie za oświatą. A ochronisz mu się nie przez cząstkowe niszczenie myśli autora, ale przez własne ugruntowanie się w zasadach, alboli przez obcą krytyczną pomoc. Jeżeli co występuje w formie zaczepnego, gdy jest złém, niecnotą, w zapasie z cnotą zginie i tryumf jéj uświetni; gdy zaś zaczepia błędy, oczyści ją. Negacyą negacyi jest krytyka, i rodzi postęp; cenzura zaś nie dopuszcza objawić się negacyi, jest zatém hamulcem postępu. Ztąd wynika, i potwierdza to doświadczenie wielu lat, i krajów, że cenzura nie podnosi ani moralności, ani oświaty ludu, ale wstecz ją cofa.

Na téj saméj linii i z tych samych powodów, stawione są pisma jako wolne od cenzury, których znamieniem jest sztuka. — Zachodziłoby tu pytanie, którego autor nie rozbiera, o ile poezya bezwarunkową cieszyćby się powinna wolnością druku. W poezyi jest natchnienie; nigdzie zatém cenzura nie jest stra-

szliwszą myśli gładzicielką, jak właśnie w poezyi, którą nie zimny namysł wywołał, ale wyższe natchnienie zrodziło. Możnaż do wylewu gorących uczuć, do polotu rozognionéj wyobraźni, bujającéj w sferach nadziemskich, przyłożyć miałką ziemską miarę osobistego uwidzenia? przyłożyć prozę zimnéj instrukcyi do marzeń zaimanego w okolice ducha, i niszczyć dla celów tego świata, co nie jest z tego świata? Tu człowiek albo goni za marą, albo duchom wypowiada wojnę, i mieczem myśli uśmiercać chce, co jest nieśmiertelne, bo tchnie i żyje w piersiach milionów. Poezya istotnie nie jest rzeczywistością, bo jest zmartwychwstałą rzeczywistością w duszy i natchnieniu poety. Wszelka ziemskość w poezyi zniknąć musi z przedmiotów, i zostaje się tylko kształt, niby kształt ciała ubłogosławionego albo potępionego ducha. Czy to więc szatan czy anioł przegląda z poezyi, to są postacie nie tego świata, i mająż one kłopotać ludzi? Nie śpiew Marselczyków wywołał rewolucyą francuzką, ale rewolucya francuzka stworzyła ten śpiew, słowem i tonem wnikający w pierś Francuza, niby skrami ognia wulkanicznego. Poezya jest echem czasu, nie czas echem poezyi; kto więc będzie gonił za echem? Coby powiedzieli byli Homer, Pindar lub Euripides, gdyby im muzę ich na stracenie, albo przynajmniéj na kalectwo do cenzora wiedziono? (Taka więc wydaje się niestósowność, że nie powiem niedorzeczność podkładania poezyi pod cenzurę.)

Kto traktuje autorstwo jako rzemiosło, dowodzi daléj pan Heinsiusz, ma więcéj własny pieniężny pożytek na celu, niżeli idealną korzyść publiczności. Krytyka nie cenzora jest rzeczą, jego zasługi dostatecznie wyświecić i ocenić, dla tego i pisma tego rodzaju wyjęte być powinny z pod cenzury.

Do wyrobników pisarskich *(Tagelöhner)* liczy autor pisarzy pism ulotnych i peryodycznych, którym na celu nie dobro, ani nauka, ale to jedynie, aby publiczność czytającą zabawić, rozśmieszyć dowcipem, satyrą, ironią, choćby na koszt rzeczy najświętszych, i osób nieposzlakowanych. Co nam tu autor na obronę i tego rodzaju pism powiada, aby je od cenzury osłonić, wychodzi na to, że dawniéj królowie mieli błaznów na dworach swoich, aby się uśmiać i ubawić, czemużby i ludowi nie miało być wolno, ubawić się na ten sam sposób. „*Man muss auch dem Volke nicht allen Stoff entziehen wollen, woran es seine Laune üben, sein Müthchen etwas kühlen kann; es will auch lachen, nur auf seine Art, und darin muss man es nicht stören. Volkswitze sind keine feinen Witze, sie wollen mit ihrer Derbheit ertragen sein, wenn sie auch mitunter die leichte Empfindlichkeit mancher Grossen etwas scharf berühren, denn diese müssen eben so gut Tadel ertragen lernen, als sie sich an Lob und Schmeicheleien gewöhnt haben.*“ — I zapewne ma to twierdzenie słuszność po sobie, bo lepiéj rządowi, że się lud wyśmieje, i humorowi przyrodzonemu cugle popuści, niżeli żeby uciemiężony taił w głębi wnętrza niechęć i zemstę; lepiéj, że nieukontentowanie i ucisk mass tryśnie satyrą i ironią, i zniknie jak burzenie się w winie szampańskiém, niżeli żeby wyrabiało się na niedokwas, i robiło jak w winie na fermencie stojącém. Nie z interesem więc rządu stawiać Momusa przed cenzora; jego figura tam równie nieszczęśliwa, jak Muzy, bo oboje niewinni, i nie wiedzą, za co przed sąd stawieni. Satyra prawda, najdzielniejszą jest bronią, ale nie przeciw prawdzie i cnocie; i nic tak nie razi, jak pośmiech, ale nie ludzi szlachetnych i zasłużonych. Jeżeli zatém pociski dowcipu tylko głupich i złych kaleczą, a od mądrych i uczciwych odbijają się bez skutku, a nieraz wracają raniąc, zkąd wyszły, za cóż nie puścić pism tego rodzaju na wolę autorów?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Na widok Krakowa.

(Wyjątek z dłuższego poematu.)

Οιδιπους
ὦ πόλις, πόλις.
Ισμηνη
δεδογμέν', ὡς ἔοικε, τήνδε κατθανεῖν;
Κρεων.
Καὶ σοί γε κ'αμοί.

Sofokles.

O miasto smutku — stare, osiwiałe,
Tak dumno wielkie — tak nikczemnie małe;
O miasto smutku — ty świata stolico,
Dawną, strawioną spaniałością syta,
Dzisiaj żebrząca królów polowico,
Żebrak cię wita!
Żebrak — bo któż dziś przed królewską wdową,
Co kraj straciła, co królestwa nie ma,
Któż z możnowładzców dumną schyli głową?...
Próżno, o próżno świetne diadema
Stu wież i gmachów na twe skronie wkładasz!

Próżno, o próżno zgrzybiała matrono
Wieńcem krużganków zdobisz twoje łono,
I próżno Wisły o twe wdzięki badasz;
Nie wierz kłamliwym słowom jéj zwierciadła,
Tobie korona z dumnéj głowy spadła!
I już dziś twemi przekwitłemi wdzięki
Nie znęcisz mężów w miłosne zaloty,
Coby przez ognie i miecze i groty,
Twéj się królewskiéj dobijali ręki. —

Wierzaj mi, wierzaj — przed królewską wdową
Nikt z możnowładzców nie uchyli głową!

Dawniéj, gdyś była panią miast i grodów,
Gdyś była matką niewyrodnych płodów,
Gdy liczne kraje i wielkie dwa morza
Hołd swój składały u twego podnoża,
Wtedy niejeden z dumnych władców świata,
O twoją rękę zuchwały się kusić,
Zdolny do ślubów zwycięztwem przymusić,
Miecz doświadczony brał sobie za swata;
I tak przychodził w miłosne zaloty
Przez krew i ogień i miecze i groty!

Tak potwór wschodu, pobratymiec płazu,
Ukryty zimą śród pieczar Kaukazu,
Nóg milionem wypełzał co wiosnę,
I słał ci co rok swe dary miłosne;
Słał mleko klacze i ścierwo źrebięce,
I łzy niewieście i krew niemowlęce!

Tak syn rozkoszy marzący w seraju
O odaliskach dziewiątego raju,
Przychodził po cię, o perło Allaha,
Godna w koronie błyszczeć Padyszacha!

Tak mąż, któremu niańczyły Tytany,
Syn dzikiéj ziemi, w morzu zakochanéj,
Co z dziecka śmierci bawiąc go obrazem,
Krwią go poiła, karmiła żelazem;
Tak mąż ten wielki, gdy twą piękność zoczył,
Skały przesadził i morza przekroczył!
A gdy żelazną prawicą zwycięstwa
Do wrót twéj cichéj zapukał dziedziny,
Zbladły twe córy, zadrżały twe syny,
I najmężniejszym nie starczyło męztwa;
Król cię twój własny bez wstydu i sromu
Z życiem uchodząc, rzucił pokryjomu! —

W tedy ty sama jedna niezachwiana,
Z cnotą świętego dochowałaś stadła;
Dumna i wielka — na ciosy tarana,
Aniś zadrżała, ani trwogą zbladła, —
Jak puszcz królowa, gdy w obronie płodu
Stawa do walki — tak ty miast królowa,
Uledz niezdolna, choć poledz gotowa,
Stałaś w obronie całego narodu; —
Dumna i wielka — tak świetna jak sława,
Jak rozpacz straszna, a jak zemsta krwawa!
Straszna i krwawa — wtedy ci przystało
Zdobić się dumą i chlubić się chwałą!

Lecz dziś, już zgasły twe wdzięki i blaski,
Kiedy zdeptane twoje stare cnoty,
Gdy czarodziejskie zdarło ci przepaski,
I twoje mury — okopy — rechoty;
Dziś słabaś duchem, a wiekiem zgrzybiała.

Pójdźcie więc — pójdźcie sieroty rozpierzchłe,
I wy dni blasku w przeszłości zamierzchłe,
I wy dni nasze ponure żałobą,
Pójdźcie i płaczcie — lecz płaczcie nad sobą!
Nad ruinami płaczcie — w pośród zgliszczów
Własnego łona szukajcie, sieroty,
Dawnéj potęgi skruszonych bożyszczów,
Zburzonych świątyń i przybytków cnoty!

Po co nam, po co, niewieście płakanie
Nad stusem gruzów, które czas rozkruszy, —
Po co ich płakać, gdy nam łez nie stanie
Na opłakanie ruin własnéj duszy!...
— — — — — — —

Berwiński

Taniec.
(Fantazya.)

. . . .
Co przed mojém widno okiem
To nie widno przed niczyjem!
w *Damianie.*

Jak tu przestrono!
Jak tu zielono!
Potańczę, pohulam sobie,
Z bratkiem u skroni,
W ojczystéj błoni
Na drogiéj matki méj grobie.

Kwiateczki moje!
W was się ustroję,
To dla mnie ślubna sukienka!
A błyskawica
Ślubna gromica!
Burza — to ślubna piosenka!

O stokroć miły
Krzyżyk z mogiły!
Do pary wezmę — i w tany,
Ho — hop wesoło,
Przehulam w koło,
Przez bujne, ojczyste łany!

Witam was druhy
Rodzinne duchy!
Weście mię, weście pod ręce —
Niech dzwięk pancerza,
Takta wymierza,
Tanecznéj, dzikiéj piosence!

* * *

Gromy ustały,
Tany przebrzmiały
O Boże! biedna ja biedna!
Ale tam w górze,
Przebłyska w chmurze
Nadziei gwiazdeczka jedna!

I w piersi jeszcze
Przeczucie wieszcze
Godową piosenkę nóci:
»W te drogie łany
»Taniec kochany
»I dawne wesele wróci.«

31. Stycznia 1841. *Franciszek Żygliński.*

ŻONA I SIOSTRZENICA.

Kilka zarysów z życia potocznego.

(Dalszy ciąg.)

7. Kobieta uczona.

Wieczór się zbliżał. W bocznéj ulicy Saskiego ogrodu przechadzało się dwoje osób. — „A twój mąż, Emilio?“ zapytał mężczyzna. — „Ha, ha, ha! mój mąż! to prawdziwie pocieszna figura! wysłałam go z domu.“ — „Gdzież?“ — „Odwiózł swoją godną siostrzenicę. Dziewczyna nie ma co mówić dobra, ale głupia jeszcze, nie można z nią było nic zrobić, a jednak taki gość w domu i nieodstępny towarzysz.....“ — „To nie zawsze przyjemny.“ — „Naturalnie.“ — „Prędko przyjedzie?“ — „Nie wiem, obiecał pisać, a dotąd listu nie widać, byłby mię przed powrotem uwiadomił.“ — „Ale dziś wieczorem spodziewam się, że cię będę mógł Emilio odwiedzić.“ — „Dziś? o dobrze — jednak bądź na ostrożności; nie przychódz, aż przyślę karteczkę — mógłby kto nadejść przypadkiem.... ale, ale, Henryku! weź ten klucz od gabinetu mojego; wejdź prosto z sieni — drzwi na lewéj ręce do przedpokoju, na prost schodów do gabinetu.“ — „Bądź zdrowa! do widzenia!“ — „Bądź zdrów Henryku!...“

I pożegnali się z sobą. — Emilia poszła do domu. W domu już był Edward, który przed chwilą wszedł i właśnie pytał się o panią, kiedy ona drzwi otworzyła. Spostrzegłszy go, cofnęła się mimowolnie z krzykiem — a on tém więcéj przerażony, zapomniawszy o przywitaniu oziębłém, na jakie się przygotował, nie wyrzekł ani słowa. Była to dziwna chwila milczenia. Czyby pędzel śmiałego malarza umiał charaktery tych dwojga osób na ich twarzach wyrazić? Edward był tak zmięszany, jak się nie spodziewał; na Emilii więcéj było widne zadziwienie niż pomięszanie, a jednak i to tak mile przystawało jéj do twarzy, że przybyły nie mógł oczu od niéj oderwać. Ona śledziła każde jego spojrzenie, każdy ruch jego, i poznała, że albo nie przestał jéj kochać, albo że w téj jednéj chwili odezwała się cała miłość jego ku niéj. Już wiedziała, jak z nim ma mówić — ten krótki przeciąg czasu jest dostatecznym dla niéj, już go zbadała i pojęła. To najważniejsza umiejętność kobiety! potrzeba długiego doświadczenia, żeby się nie zawieść.

Pospolicie pierwszy romans dziewczyny jest tak szczery, miły, niewinny, jak uśmiech dziecięcia, które jeszcze nie wie o świecie. Ale im dalszy, tém uczeńszy, doskonalszy, tém więcéj wyrachowany. Dzięki filozofii szkockiéj! ona każe z doświadczenia korzystać, ale zaręczam, że nim się jeszcze ludziom śniło o filozofii, kobiety już umiały rozumować nad potrzebę wieku.

Weszli do pokoju. — Edward się pierwszy odezwał: „Pani!....“ i chciał daléj mówić, ale mu Emilia przerwała, pytając: „cóż?....“

To „cóż“ nie wiem czy było poważnie, czyli miłośnie wymówione, dość, że on ani nie śmiał listu oddać, ukłonić się i iść za drzwi, ani się rzucić jéj do nóg, jak według wszelkich ustaw romantyzowania należałoby uczynić. Biedny mój Edwardzie! gdybyś choć w téj przykréj chwili umiał był jaki ustęp z Nowego Abejlarda, byłbyś mógł przyklęknąwszy z czuciem zaimprowizować np.:

Mówisz do mnie z ufnością, jak do swego brata,
Jako do przyjaciela, krewnego, kochanka;
Nie znać, żeś była serca mojego tyranka!
Żeś na wieczne od siebie odparla mię lata!!

Ale on niemy, zmięszany, stał w miejscu z naprzód wydaną głową i jedną nogą w tył uchyloną. Głupie to położenie! Szczęście, że Emilia wkrótce go uwolniła z téj postawy, przemówiwszy łagodnym głosem: „Edwardzie! cóż tu robisz u mnie?“ i zbliżyła się ku niemu, a wziąwszy go za rękę, posadziła obok siebie. — „Tyś o mnie zapomniał, jak widzę, a twoja Emilia przecież cię zawsze kocha. Cóż tu robisz?....“ — „Przynoszę list od męża.“ — „List?....“ — „Tak jest; cóż panią tak dziwi?“ — „Panią!?.... czy Edward zapomniał, jak mię nazywał dawniéj?... ale pokaż list; gdzieżeś się widział z mężem?“ — „Ja.... tak.... spotkałem się przypadkiem; wprawdziem go nie znał, ale dowiedziawszy się, że jadę do Warszawy, prosił o oddanie.“ — „Bardzo mię to cieszy, inaczéj możebym nigdy nie miała szczęścia widzieć cię u siebie.“ — „Emilio! pocóż te wyrzuty? czyżem na nie zasłużył?“ „O nie! i owszém, ja jestem występna. Bo wy mężczyzni nigdy nie możecie uniewinnić w oczach własnych kobiety, częstokroć ofiary cudzych widoków; a gdybyście umieli czuć, jakiéj to potrzeba mocy do zniesienia takiego poświęcenia, możebyście nam nieraz wielkość duszy przypisali, z któréj się tak często chełpicie. Powiem ci o wszystkiém, a spodziewam się, że

więcéj litość niż pogarda powodować tobą będzie — ale zatrzymaj się chwilkę, tylko list przeczytam, może tam co nowego...."

I rozerwała pieczątkę, a rzuciwszy okiem po papierze, potargała go i cisnęła na ziemię. Potém napisała słów kilka, zadzwoniła — wszedł służący, oddała mu bilecik, mówiąc: „Zanieś na Stare miasto na trzecie piętro, gdzie wiesz!"

„Mój Edwardzie!" rzekła z westchnieniem, zasunąwszy drzwi — „pamiętasz, że ci mój ojciec nie kazał wracać aż po trzech latach — tyś nie zrozumiał jego planów! Ach! nie wiesz, com ja wycierpiała — tylko pamięć o tobie potrafiła cokolwiek osładzać moje nieszczęścia, tylko nadzieja w tobie ochroniła mię od rozpaczy. Ale nie długo tego było: ojciec przejmował moje listy, a tyś napróżno i napróżno pisywał. Wreszcie dzisiejszy mój mąż, wierzyciel ojca, obiecał go tradować. Jedno tylko, co mogło nas ocalić, było oddanie mu mojéj ręki. Edwardzie posłuchaj! Mogłamże patrzeć na tułającego się na starość ojca!? mogłamże znieść, aby w nędzy życia dokonał?! Zniewolona zaklinaniami jego, błaganiem ciotki i groźbami Józefa, musiałam się podpisać na wszystko! Ojciec umarł, nie długo potém ciotka, a jego majątek przeszedł pod zarządy męża mojego. Edwardzie! my choć biedni, bylibyśmy szczęśliwsi — nie prawdaż?"

Edward zamiast odpowiedzi objął ją w pół i przycisnął do serca — tak oboje długo, jakby żywieni sobą, zostawali w objęciach; kiedy niekiedy tylko było słychać przytłumione westchnienia i szepty — już się mroczyło — oni nie potrzebowali światła — ciemność wieczora ich zakryła. — Wschodzący księżyc jeszcze ich zastał w téj saméj postawie, rzucił na nich białemi oczyma, a nie chcąc być natrętnym świadkiem... skrył się za chmury.

8. Niespodziewany przypadek.

Kiedy tak oboje miło spędzali chwile roskoszy, we drzwiach pobocznych, jakby z trzeciego pokoju, klucz w zamku się obrócił, a za nim jakiś hałas dał się słyszeć. Emilia w mgnieniu oka już była w gabinecie, a sądząc, że to umówiony gość, chciała go ostrzedz, aby się zatrzymał, a potém wrócić do pokoju i pożegnać Edwarda do miłego nazajutrz. Ale jakież było jéj zadziwienie, gdy spostrzegła męża, trzymającego za kołnierz Henryka. — „Hej, światła! światła!" wołał pan Józef — „złapałem złodzieja?"

Na ten krzyk wybiega lokaj ze świecą do sieni, a Edward nie wiedząc co robić, porwał za kapelusz i stanął u drzwi, oczekując na sposobność ucieczki. Tymczasem hałas się wzmaga, Henryk się kłóci i szarpie, ale pan Józef nie czekał — jedną ręką drzwi otwiera, a w drugiéj trzymając Henryka za kołnierz, wpada do pokoju. Edward uderzony silnie drzwiami, pośliznąwszy się po woskowanéj posadzce, upada, ale w tym zapędzie gwałtownym pan Józef potknąwszy się o leżącego na ziemi Edwarda, a z drugiéj strony szarpnięty przez wydzierającego się mniemanego złodzieja, potoczył się daleko i legł wreszcie na środku pokoju. Edward się zerwał szybko, dostawszy guza na czole, i nie czekając, wysunął się za drzwi. Henryk, który nie wiedział, że rywalowi swojemu był winien ocalenie, już był na ulicy. Ale pan Józef nie prędko mógł się podnieść — mocne stłuczenie kolana nie pozwalało mu powstać. Żona dobra, przywiązana, ale ucieszona, że taki przypadek tylko komicznie się zakończył, radziła mu, aby się udał na spoczynek.

„Nie, moja duszko," rzekł pan Józef — „muszę wprzód się namyślić nad tém zdarzeniem, i powiem ci, dla czegom tak prędko przyjechał, jakem sam się nie spodziewał." — „I cóż? no słucham." — „Tyś Ludwikę przedemną oczerniła...." — „Oczerniła!? mój mężu! cóż się tobie dzieje?..." — „Już dosyć!... wiem o tém, że ona niewinna; jéj łzy mię przekonały." — „Łzy?... ty jeszcze nie wiesz, że kobieta umie śmiać się lub płakać, kiedy jéj się podoba." — „Nie świadcz przeciw sobie! W Radomiu lepiéj wiedzą, niż ja, co się w moim domu dzieje. O zgrozo! o wstydzie!" — „Nie rozumiem tego," odparła zmięszana Emilia, jednak to pomięszanie pokryła uśmiechem ironicznym — „cóż za wiadomości pan mąż zbiera? ha! ha! ha! to drugi akt komedyi; pierwszy dosyć się głupio i smutnie zakończył, boś się przewrócił i stłukł nogę." — „A trzeci?" zapytał pan Józef. — W tém wszedł służący i oddał mu jakiś pugilares. — „Co to jest?" — „Złodziéj musiał upuścić z kieszeni ten pakiet." — „A dawaj, zobaczę, może jakie narzędzia...." — I otworzył pugilares. Emilia zbladła, ale nie uważano tego. Poprosiła o szklankę wody. Służący już wyszedł. Pan Józef kulejąc przystąpił do niéj i zapytał: „Cóż tobie?" — „Nic, może to przeminie." — „Emilio! zmiłuj się, nie urażaj się, to tylko potwarz! ja ciebie kocham i dla tegom zazdrosny może."

Pan Józef miał dobre serce. Czy on się mógł spodziewać w téj chwili, że to nie jego słowa, ale pugilares Henryka takie wrażenie na jego żonie sprawi? Z zimną krwią otworzył go i wyjął jakis papier — Emilia zemdlała — służący zaczęli ją cucić — mąż tylko stał w miejscu, ani jednego kroku nie postąpił daléj. Z niemym wyrazem boleści wlepił wzrok w list, który

trzymał w ręku. Zdawało się, że cała jego dusza przeszła w oczy — blady, milczący, spojrzał na żonę, opuścił ręce, krok ku niéj jeden się przysunął i zawołał: „Emilio!“ i zamilkł.

Emilia podniosła oczy i wzdrygła się mimowolnie, bo nie widziała nigdy takiéj zmiany na twarzy męża.

Pan Józef stał jeszcze — wreszcie porwał za papier jakiś leżący na biórku żony, i przypatrywał się mu długo. Czy porównywał charakter, bo po chwili spojrzał jeszcze raz na list, i krzyknął: „Tak, to jéj ręka!“ i łzy pociekły po siwych wąsach starego.

9. Skutki niespodziewanego przypadku.

„Tak, Ludwiko, wszystko skończone!“ rzekł pan Józef — „postanowiłem już raz — i dosyć na tém.“ — „Ależ mój stryju......“ — „Nie nazywaj mię już stryjem, moja córko: dziś nie chcę się zapierać mojego prawa do ciebie — wiedz o wszystkiém — już nie jesteś sierotą, jakeś sądziła — masz ojca! On cię już nie opuści;..... resztę życia chcę przy tobie dokonać i nagrodzić cię za tyloletnie sieroctwo.“ — „O mój drogi ojcze!“ zawołała Ludwika i rzuciła się w jego objęcia; łzy nie dały jéj więcéj mówić.... Wreszcie uspokoiwszy się, zaczęła nakłaniać na nowo ojca do pogodzenia się z żoną. — „Dziecko jesteś, Ludwiko,“ odpowiedział jéj — „moje sumienie jest czyste — a co do niéj, ona będzie szczęśliwszą z innym — nie chcę już jéj widzieć, boby się odnowiły wszystkie moje cierpienia — tyś mi jedna tylko została!“ — „Ja jedna tylko?“ zapytała Ludwika — „wszak ojcze masz przyjaciela jeszcze, masz Edwarda....“ — „Ach prawda! Edward będzie synem i przyjacielem — jak ty o nim pamiętasz! — zdaje mi się, iż trzeba przyspieszyć wasze małżeństwo, żebyś się nie troszczyła o niego.“ — Ludwika się uśmiechnęła — jest to zwykła potakująca odpowiedź dziewczyny.

W tém ktoś zajechał na dziedziniec — drzwi się otwarły, i Edward rzucił się w objęcia kochanki. — „Jak się masz mój synu? właśnieśmy o tobie rozmawiali.“ — „Dziękuję za troskliwość....“ — „To nie mnie — podziękuj Ludwice, ona o tobie najlepiéj pamięta.“ — Edward za całą odpowiedź ścisnął ją za rękę i wlepił w nię oczy, w których się malowała miłość i wdzięczność; ale w téj chwili jakby dla zatrucia szczęścia, którém się poił, stanęła mu w myśli Emilia, ta dawna kochanka, co go równie obdarzała pieszczotami jak drugich. A Ludwika?..... Ludwika niewinna jak anioł, pierwszą miłość, pierwszy pocałunek, pierwszy uścisk mu oddała. On ją zdradził. Może i w téj chwili myślała o nim, kiedy on poił się roskoszą w objęciach żony Józefa, tego Józefa, który z całém wylaniem przyjacielskiém, z całą otwartością i szczerotą zaufał mu; który mu swoją córkę jedyną oddaje! „Ona o tobie najlepiéj pamięta!“ te wyrazy w uszach mu dzwoniły, jak śpiew weselny pod smętarzem.

Taka mięszanina, taka walka uczuć w jednéj chwili zrodzona, zawróciła mu głowę. Jak pijany odepchnął od siebie Ludwikę i bezsilny upadł na krzesło. Nie wiedziano, jak sobie to wytłumaczyć. Ludwice łzy w oczach stanęły i patrzała na Edwarda, chcąc zbadać z jego twarzy, czego pojąć nie mogła; ale w téj twarzy nie było żadnego wyrazu, żadnego pojedyńczego uczucia. Pan Józef, podparłszy głowę na dłoni, utonął w myślach.

Po chwili milczenia Ludwika się zapytała: „Edwardzie! cóż się tobie stało?“ — „Przebacz! przebacz! tyś niewinna!“ zawołał i rzucił na nię oczyma, jakby błagał o litość.

Na te słowa pan Józef, jakby ze snu zbudzony, zerwał się z krzesła i krzyknął: „Ona niewinna!? ona niewinna!? a list, list jéj ręką pisany!“ i rzucił jakiś potargany papier na ziemię. — „Uspokój się mój ojcze!....“ rzekła Ludwika. — „Ona niewinna? każesz jéj przebaczyć?“ mówił z drżącym uśmiechem pan Józef. Ale nie był to uśmiech radości — to jakieś konwulsyjne ust drganie, pośród którego często wybiegały wyrazy: „Ona niewinna!“ — „Ludwiko!“ rzecze Edward po chwili milczenia — „pójdź do ogrodu.“ — „Ja z tobą?.... nie, nie pójdę — co tobie jest?“ — „Już nic, ale zmiłuj się, mam ci wiele mówić, co mi jak kamień cięży na sercu; widzisz, żem zupełnie spokojny.“

Ludwika się długo wzbraniała, wreszcie poszła, ale z niejakąś obawą. „Cóżeś miał mi powiedzieć?“ zapytała się go, gdy już byli w ogrodzie. — Edward się rzucił jéj do nóg i zawołał: „Przebacz mi!“ — „Edwardzie! puść mię, co tobie się stało?“ — „Nie puszczę cię, póki mi nie przebaczysz!“ — „Ja się nie gniewam wcale“ i chciała go podnieść, ale Edward wołał tylko „przebacz!“ — „No, przebaczam, przebaczam, ale wstań i powiedz, co chcesz odemnie?“

Tu Edward zaczął opowiadać swoję miłość ku Emilii — Ludwika się zapłoniła i łzy jéj w oczach stanęły; a kiedy przyszedł do tego miejsca, jak ostatni raz był u niéj, zerwała się i chciała uciec. — „Stój! stój!“ zawołał Edward — „niech dokończę; wiedz o wszystkiém!“ — „Już dosyć! już dosyć! przebaczam ci!“ — „Ludwiko! tyś aniołem dobroci! zapomnij o wszystkiém; odtąd zacznijmy inne życie, inną miłość; bądźmy szczerzy dla siebie! zapomnij przeszłość!“ — „Już nic nie pamiętam“ — rzekła z uśmiechem — „te-

raz idźmy do ojca, on słaby, dawne wspomnienia czasem zatruwają spokojność jego.“ — „Dawne wspomnienia!.....“ powtórzył Edward i poszedł za Ludwiką.

Nie długo potém nastąpił rozwód pana Józefa — Ludwika poszła za Edwarda i wszyscy troje na wieś wyjechali.

(Dokończenie nastąpi.)

Jak się przedstawia dzisiejsza massa literatury niemieckiéj?

Zastraszająca jest ilość dzieł niemieckich, i rok rocznie w coraz większe massy rośnie. Co pół roku wychodzi w czasie wielkiego jarmarku w Lipsku, katalog książek nowowyszłych, i wylicza przeszło tysiąca pisarzy. W przecięciu więc drukuje się co rok w Niemczech około 10 milionów tomów, a do 50000 obecnie naliczyćby się dało osób żyjących, z których każdy był już autorem. Jeżeli tak pójdzie daléj, to przyjdzie czas, gdzie historya literatury niemieckiéj będzie miała listę pisarzy, przewyższającą liczbę czytelników w Niemczech, a liczba książek przeniesie o wiele liczbę dusz. Tą massą książek, jak Chiny murem cyklopów, opasał się duch niemiecki. Niemcy przedewszystkiem lubią wiele pisać i piszą wiele. Wynaleźli sobie sami drukarnią, i pracują przy niéj z usilnością, zawalając kraj swój książkami. Znajdziesz w każdem miasteczku czytelnią, a u osób lepszego mienia lub lepszego wychowania zbiory książek doręcznych. Nic nie zajdzie, nic się nie stanie, o czémby zaraz nie pisano. Piszą zaś o wszystkiém, od najważniejszych do najpotoczniejszych rzeczy. Znajdziesz w książkach i jak rządzić krajem najlepiéj, i jak dziecię kołysać i książek jak z apteki, czerpią rozumy i sposoby, każdy z książek wypisuje od ucznia do nauczyciela, od lekarza do kaznodziei. Z nich rządzą, leczą, zachowują się, kuchcą, piwo warzą, pieką i t. p. Zdaje się żeby się już dziś człowiek bez książki obejść nie mógł. Kiedy u nas uczony i uczący zię ślęczy nad książką, wzrok i zdrowie traci, przechadzali się uczyli filozofowie greccy pod gołem niebem, wśród drzew palmowych i morwów. Są ludzie i jest ich stu tysiącami, którzy całe życie przykuli się do książek, za młodu ucząc się sami, a potém i aż do śmierci ucząc drugich. Z ławki poszli na katedrę, i nigdy nie zajrzeli co się dzieje w świecie. Są to obywatele dawnych Aten i dawnego Rzymu, którzy znają dokładnie i aż do drobnostek, co się tam działo, i jak ongi było, ale nie znają własnego kraju. ani się troszczą, jak się dzieje teraz. Są to ludzie bujający po obłokach marzeń i systemów swoich, a nie umiejący sobie poradzić w żadnym wypadku życia praktycznego. Są to mnichy szczególnego rodzaju, co się we własnym, obcym świecie zamknęli, jak w klauzurze, i z niego nie występują nigdy. Są to trapiciele młodzieży, męczą ją, z czém się sami męczyli, ładując ich głowy i teki książkami.

Takich pisarzy pełno jest w Niemczech, niepraktycznych teoretyków, dziwaków w sposobie życia, ludzi bez wpływu na ogół. I ztąd daje się wytłomaczyć niestósunek oświaty Niemiec, do mass piszących autorów i pism. Najwięcéj dzieł zaciemnia, zamiast oświecać, zabiera czas grą fantazyi, zamiast uozdabiać umysł i oświecać poezyą i umiejętnością. Ale sama nawet poezya i umiejętność zamkniona w piśmie jakby w trumnie. Jaki to był ogromny wpływ dawnéj poezyi ustnéj, kiedy śpiewającego barda otoczyło grono słuchaczów każdego stanu, wieku i płci każdéj, i oblicza swe utopiło w obliczu starca, dusze swe utopiło w poezyi wdzięcznym głosem w głąb serc wnikającéj! Tym środkiem złagodziły się obyczaje ludów, rozmiękły zdziczałe umysły, i dały się ukształcić religii, sztuce i naukom.

Dziś mieszczanie i lud zrobili rozbrat między sobą, nie znają i nie słyszą się wzajemnie, rozwiedli uczucia które się dawniéj społem żeniły. Poeta uczucia swoje w chwili natchnienia poczyna, rodzi, i oraz mumizuje. Tę mumią dopiero bierze inny do ręki, i musi natchnąć ją życiem swojem, aby podobną zrodził chwilę natchnienia.

To samo dzieje się w wydziale nauk i umiejętności. Uczeni pomysły swoje wszystkie posyłają w książki, są to niby zamki bogate ale nieme, w które czasy nasze geniuszów zakłęły. Jasne i promieniste jak słońca połyski ich myśli, obumierają w letarg papierowy i czernieją jak trupy, rzucone na przypadek, ażali je jaki nowy Prometeusz do życia nie wskrzesi. Nie jedne pomysły nie ożyły więcéj, nie jedne lat kilkanaście czekały. *)

Gdyby pomysły geniuszów od razu przechodziły w życie przez ustny wykład, żyłyby od pokolenia do pokolenia, i z życia wychodząc budziłyby i rozlewały szeroko życie narodu umysłowe. Poezya w piśmiennym letargu manią wyobraźni nasycona, łatwo się jeszcze da wskrzesić do życia, bo to życie u saméj powierzchni, u samych jéj kończyn rozlane, i dla tego wpływ poezyi pisanéj zawsze będzie jeszcze wielki. Nie tak się ma z nauką i umiejętnościami. Ich życie w głębi utkwione gdy w książce zamiera, nie tak łatwo się budzi. Mało jest takich coby się z książek sami nauczyli, bo być samemu wskrzesicielem uczonych i umiejętnych myśli autora, i nudno i niełatwo. Nudno, bo jedne członki stawają żywe w umyślé naszém; inne leżą martwe i niezrozumiałe; nie łatwo bo całego naszego natężenia trzeba, ażeby z martwych często niedostatecznych znaków, wydobyć i pojąć myśl, tak jak była w umyśle autora poczęta.

Jak różny jest skutek i wpływ z czytania dzieł pisanych, a ze słuchania wykładu widzimy i przekonywamy się po uniwersytetach, gdzie nikt nic nowego nie wykłada, czegoby albo sam już nie był napisał, albo inni nie napisali, a jednak jaka to obfita winnica umysłowa, jaka słodycz jagód macicy umiejętności, żywém słowem zrywanych, jakie ztąd upojenie umysłu słuchaczów, jakie uszczęśliwienie, jakie rozradowanie się ducha, w obec żywego słowa, téj prawdziwéj karmi duchowéj!

Otóż i w Niemczech te massy piśmiennictwa, co jak powódź rozlewa się rok w rok na wiosnę z Lipska na kraje całe, nie mają tego wpływu na oświatę, jakiby mieć powinny, dla tego właśnie, że te płody umysłowe dopiero do życia budzić należy; a nie każdy to potrafi, nie każdy umie uczynić dla siebie wybór; nie każdy pojmuje, jak autor pojmował.

Ta mania pisania stała się drugą naturą Niemców, piszą nie tylko wiele w literaturze, ale i w sprawach publicznych. Massy książek i massy aktów urzędowych idą w równi, i ro-

---

*) Ohm biegły fizyk w Kolonii dociekł kołowego obiegu elektrycznego płynu; i poddawszy to postrzeżenie pod rachunek wynalazł logarytmiczną formułę. Badania swoje złożył w pisemku pod tytułem: „Die galvanische Kette“, które wyszło 1826. r. w Kolonii. Dziełko to tak ważne nie miało żadnego pokupu i nakładzca zaczął go już używać na makulaturę. Matematyk Ohm w Berlinie zdiwił się nie pomału, gdy mu księgarz przysłał książki obwinięte w arkusze z pisma brata jego. Zwrócił uwagę księgarza aby tego nie robił, że łączenie obecne matematyki z fizyką zwróci zapewne uwagę na ważność dzieła brata jego, na którem się dziś nie poznawają. Jakoż w 10 lat ogłosił Gauss wypadki spostrzeżeń z zaprowadzonych przez Humbolda obserwacyi magnetyzmu na różnych punktach ziemi, i znalazł że wszystkie te postrzeżenia rożwiązać się dają przez ową formułę Ohma w jego łańcuchu galwanicznym. Dopieroż pokup tego pisemka, tłómaczenie go na różne języki. Gdyby nie Humboldt, nie Gauss, przepadłoby może w zapomnienie jedno z najważniejszych dziś odkryć analizy fizycznéj. — Z opowiadania Prof. Ohma w Berlinie.

sną w olbrzymie stosy. Wszędzie piszą a piszą. Dowcipnie, ale i po prawdzie powiedział Wolfgang Menzel że na utrzymaniu tylu pisarzy i pisania ubożeje i łachmanieje naród, bo inaczéj zabrakło by też łachmanów papierniom, czyli stosując to do brzmienia języka naszego: z papierowéj opłaty, na papier płaty.

Pisownictwo, tak się wyrobiło na wyłączną czynność i działalność Niemiec, że tylko po tym gościńcu droga do sławy i znaczenia. Mało ludy Germańskie liczą bohatyrów, głośnych mężów stanu, w sztuce nawet nie doścignają Dürerów w pomysłach, ani budowniczych kościołów gotyckich. Na to miast wszyscy wielcy ludzie od czasów rozgałęzionego piśmiennictwa, są autorowie dzieł pisanych. Geniusz, co się po innych krajach wyrodzi na męża publicznego, co losami ojczyzny swojéj kieruje, w Niemczech wyradza się na pisarza. Któreż imiona są tak głośne na publiczném życiu Niemiec, co imiona Goethych, Szyllerów, Humboldów, Heglów i tylu innych, co na firmamencie duchowym świecą, jako gwiazdy pierwszego rzędu?

Możnaby się zapytać jakie mogły być powody takiego umysłowego kierunku plemion niemieckich? — Główny może powód leży w geograficzném położeniu Niemiec. Zawierają sam środek Europy od południa wysokim i długim grzbietem gór odłączeni od nadbrzeżów śródziemnego i Adryatyckiego morza, ku północy dotykają wprawdzie morza Baltyckiego, ale wybrzeża jego są to rozległe piaski, nie tworzące żadnéj przystani, nie podane zatém na pożytki i ruchy morskiego położenia. Niemcy przeto są krajem czysto kontynentalnym. Brak więc tego ruchu i życia, rzeczywistości, które roztwiera handel morski. W krajach kontynentalnych wszystko staje się kontynentalne, forma rządu, życie publiczne. Wszystko ustala się na ląd stały, na którym z trudnością przyjmują się zmiany, ruchy, reformy. Kiedy tak działania twardną na stałe powszednie kształty, w duchu swoim szuka morza zjawisk, tam rozpina żagle wyobraźni wiosłuje całą siłą i puszcza się na odkrycia nowych światów. Na takiem żeglarstwie traci żywot swój, a rzeczywistość, jest jak ląd stały, do którego tylko dopiera ażeby się w żywność zaopatrzyć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Pan Felix Boczkowski dok. med. fizyk salin, członek towarzystwa lekarzy wiedeńskich, wyda wkrótce dzieło o Wieliczce, którego część historyczna jest ciekawym pomnikiem dawniejszéj administracyi skarbowéj i przywilejów miast polskich. — Zawiera: I. Topografią i statystykę Wieliczki. II. Saliny, opis malowniczy dzisiejszéj kopalni — roboty podziemne — górnicy — sprzedaż soli — administracya salin. III. Opis geologiczny i mineralogiczny pokładów i gatunków soli i wód solnych (surowicy). IV. O solirodztwie — czyli powstaniu pokładów solnych i przyszłych niebezpieczeństwach dla Wieliczki. V. Historya. O starożytności Wieliczki i górnictwa w Polsce — o kopalni w najdawniejszych czasach — o układzie dawnéj administracyi żupnéj — o górnictwie i jego postępach, o warzelniach soli czyli karbaryach — o dochodach żupnych — o osobach i zdarzeniach na nie wpływających. Dodatek o znaczniejszych gościach, kopalnie zwiedzających — o mieście i przywilejach mieszczan wielickich — o sławnych Wieliczanach z nauk i urzędów — o dzisiejszym stanie mieszczan i miasta. VI. O kąpielach solnych — o łazienkach towarzystwa akcyonaryuszów — porządek łazienkowy — o wartości i skuteczności kąpieli wielickich. VII. O miejscowości i okolicy pod względem lekarskim i kąpielowym.

W Berlinie ogłosił księgarz Reimer prospekt na pismo czasowe pod nazwą: »Archiwum wiadomości, dających poznać Rossyą pod względem naukowym.« Redakcyą ma się trudnić jakiś pan Erman (nie Ehrenmann, jak doniesiono). Przedsięwzięcie to jednak dla braku materyałów o naukowości w Rossyi nie przyjdzie pewnie do skutku.

Pieśni jenialnego Schumana do tekstu Bekera

Sie sollen ihn nicht haben,
Den freien deutschen Rhein;

wyszło siódme wydanie. — Żadna z melodyi ułożonych do tego tekstu tak jak ta wzniosłą i piękną nie jest; — widać z każdego taktu, że jest pracą R. Schumana. — Żałujemy tylko, iż właśnie przez to przyczynił się kompozytor do rozpowszechnienia tego tekstu tchnącego jadem — i wzbudzającego nienawiść narodu niemieckiego ku francuzkiemu — tekstu, który już wywołał tak nikczemne odpowiedzi, jak jest np. wiersz p. Alfred de Musset:

Nous l'avons eu, votre Rhin allemand.

Drobnostki takie szkodliwy wpływ wywierają na postęp ogółu, rozniecając nienawiść jednego narodu ku drugiemu; gdy dziś w interesie każdego ludu zobopólna przyjaźń i braterstwo, dla przytłumienia złego, które na nim ciąży, być powinno.

Jakiś pan Witalis Kukułka wyda wkrótce, jak Rozmaitości Lwowskie Nr. 30. donoszą, poezye jakiegoś Józefa z Sidorowa. Poezye te składają się z dwóch oddziałów, jeden pod napisem: »Do pięknéj dziewczyny ze Szląska«, drugi pod nazwą: »Wanda i kwiaty.« — W tymże numerze Rozmaitości Lwowskich znajduje się piękny artykuł W. Pohla: »Powieść z życia.«

W Berlinie wyszło przed kilku tygodniami nowe ważne filozoficzne dzieło »Werdera loika.« — Hegelianiści tamtejsi nie są niém jednak zadowoleni. — Obszerniejsze doniesienie późniéj damy.

Jak tonący brzytwy się chwyta, tak teraz pewna koterya w Paryżu (księcia Ad. Czartoryskiego) chwyta się rzeczy, któréj właściwéj nazwy nadać nie chcemy. Nowym dowodem wydanie dziełka: »Rzecz sejmu i dynastyi.« Ogłaszają dziełko to jako napisane przez obywatela z kraju. Możemy zaręczyć, iż w kraju nikomu rozsądnemu się o takich bredniach nie śni — i że zresztą dziełko to fabrykowane w Paryżu, ponieważ 5 dni wprzód wyszło, nim do Paryża z kraju odpowiedź na wiadomość o śmierci Niemcewicza dojść mogła.

Najnowsze dzieła.

Biblioteka Warszawska Nr. 8.
Pamiętnik religijno-moralny, zeszyt 3ci. Warszawa 1841. (Sierpień.)
Życie marszałków francuzkich z czasów Napoleona. Warszawa 1841. Poszyt 5ty (Sierpień).
Praktyczny wykład sztuki gorzelniczéj, przez J. Koncewicza. Warszawa 1841. Cena 18 złot.
Pamiętnik sceny warszawskiéj z rycinami tancerek warszawskich, wydany przez dyrekcyą intendanta teatrów warszawskich. — Warszawa 1841. Tom III.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*